Ner 24. Kraków, 17go Czerwca. 1861.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 złr. —	c. w. a.
Półrocznie .	3 „ —	
Kwartalnie .	1 „ 50	„ „ „
Miesięcznie .	— „ 50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 złr. 20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „ 10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „ 55	„ „ „
Miesięcznie .	— „ 85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 złr. 20	c. w. a.
Półrocznie .	3 „ 60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „ 80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 złr. 40	c. w. a
Półrocznie .	5 „ 70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „ 85	„ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie,** Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Prosimy usilnie o spieszne nadesłanie zaległości za kwartał od 1go Kwietnia do 1go Lipca b. r.

Redakcya.

Różne stopnie poświęcenia,

przez

Karola Dra Libelta,

Autora „Dziewicy Orleańskiéj“ i wielu innych znakomitych dzieł.

(Dokończenie).

V.

Przechodzimy w końcu do trzeciego stopnia poświęcenia się, które upatrujemy w językowem wyrażeniu *poświęcić się za kogo lub za co.* Jeżeliśmy w poświęceniu się dla kogo, uważali wyższość nad pierwszy rodzaj poświęcenia, dla tego, że tamto z dobrowolnego postanowienia wypływało, a to konieczności spółecznej było następstwem, w obecnym razie owo postanowienie dobrej woli jeszcze wybitniej się przedstawia. Bo już nie o częściowe tylko i chwilowe poświęcenie chodzi. Takowe mogło być wypływem nietylko uczucia, ale i obowiązku z niem powiązanego, który mniej więcej na każdym innym człowieku, w podobnem położeniu ciąży, jak np. poświęcenie się rodziców dla dzieci, dzieci dla rodziców, obywatela dla kraju, przyjaciela dla przyjaciela, bliźniego dla bliźniego i t. p. Ani czas, ani miara poświęcenia nie była oznaczona. Można się było poświęcić to w danej chwili, to w pewnym przeciągu czasu, to przez całe życie; można było ofiarę zrobić z majątku, z wygód życia, z czasu i pracy, cały choćby cel żywota swego dla tego jednego celu przynieść w ofierze, z powodu poniesionych trudów, znojów i niebezpieczeństw ponieść nawet śmierć; — atoli właśnie dla tego nieoznaczenia, poświęcenie się dla kogo nie miało cechy dokonanego w zupełności poświęcenia, bo takie jest już ofiarą albo samej osoby poświęcającej się, albo przynajmniej ofiarę tego, co byt jej i możność istnienia stanowi. Ten charakter dokonanej w zupełności ofiary występuje dopiero w poświęceniu się za kogo. A że ofiara ta od woli mojej zależy i wola tu stanowi o tem, czy być czy nie być, ztąd tylko wysoka cnota zdolna takiej ofiary, a poświęcenie się takie jest najwyższym stopniem poświęcenia.

Przykład wyjaśni nam te różnice najdobitniej. Gdy się poświęcam *nauce*, oddaję się jej z całą usilnością pracy, oddaję jej całego siebie, cały żywot mój; atoli czynię tylko, co każdy w zawodzie swoim czynić powinien, a zawód to powołanie moje, to zatrudnienie całego mojego życia, to cel, powszedni, dla którego żyję na świecie. Gdy się poświęcam *dla nauki*, robię już przez jej zamiłowanie dobrowolne dla niej ofiary; zrzekam się jak Aleksander Humboldt donośnych urzędów i stopni, któreby mnie od nauki odrywały; pogardzam jak Kant zabawami i wygodami życia; samych związków małżeńskich jak Śniadecki Jędrzej się wyrzekam; podejmuję jak Bart uciążliwe i niebezpieczne podróże w głąb Afryki; jak bracia Załuscy, skąpię sobie samemu, a wszystkie moje dochody i majątek mój oddaję na zakupywanie książek. Gdy się wreszcie *za naukę* poświęcam, już nie owe częściowe i chwilowe robię ofiary, ale robię ofiarę z bytu własnego; za prawdę badaniem naukowem poznaną i ogłoszoną, idę jak Galilei do więzienia, jak Huss wstępuję na stos ognisty, i jak Sokrates piję truciznę.

Zaiste, kiedy tak wysokiego znaczenia robię poświęcenie, że byt mój albo jego rozliczne formy, jak zdrowie, wolność, mienie, znaczenie, stanowisko i t. p. przynoszę; musi też być wielka i święta sprawa, za którą ją ponoszę. Samemu Bogu tylko taka ofiara się należy, a zatem i ta sprawa musi być z Boga, muszę w niej widzieć objaw Jego woli, Jego mądrości, Jego rządów, zgoła muszę w niej widzieć Jego samego. Prawda jest tem światłem, po którem Boga i Jego przytomność poznaję, a poznaję ją albo przekonaniem, albo wiarą, albo instynktem miłości. „Bóg tak chce“ wołali Krzyżowcy, zagrzani gorącem słowem Piotra Kukuk z Amiens, opuszczali żonę i dzieci, majątki i znaczenie, spowiadali się jak na śmierć i szli massami na uwolnienie grobu Chrystusowego z ręki pohańców, — a szli tym zapałem pchani jak massy zwierząt wędrownych, nie zważając na żadne przeszkody, i ginęli tysiącami z niedostatku, znoju i od miecza. Podobny głos „Bóg tak chce“ odzywa się w piersi każdego, kto się za sprawę jaką w imie dobra publicznego poświęca. Tak szli Girondyści na rusztowanie, tak idą w ogień morderczy, tłumy nieraz bezbronnego ludu i padają śmiercią za wiarę i za ojczyznę. Z tą myślą Winkelried w bitwie pod Sempach ogarnia ile może oburącz najeżone dzidy nieprzyjacielskiego szeregu i tłoczy je w pierś i wnętrze swoje, tworząc tym sposobem po swoim trupie wyłom w ściśniony zastęp wrogów; z tą myslą Judith szła do obozu Holofernesa; Kokles, Rzymianin, wskoczył w otchłań i oddał się bogom podziemnym na ofiarę.

Bywają exaltacye, które do takiego poświęcenia się wiodą, i na całe masy ludu i ludów się rozciągają. Tworzą je czasy i okoliczności. Duch Boży, duch kreacyjny, jak niegdyś nad wodami, zdaje się wtenczas unosić nad ludzkością, rozbałwaniać jej ducha, aby nowa idea tchnieniem jego w świat wstępująca, nabrała kształtu i życia. W bólach ją ludzkość rodzi i wszystkie funkcye jego żywota do tego aktu się ześrodkowały. Wola pojedyńczego człowieka jest wtenczas pod panowaniem tego ogólnego uniesienia i zachwytu.

Wszakże są poświęcenia się tego samego rodzaju, będące skutkiem zimnego rozmysłu i osobistej siły czy przekonania, czy poczutego obowiązku. Piękna ballada Szyllera *die Bürgschaft* osnuta na takiem poświęceniu się przyjaciela za przyjaciela. Platona dyalog *Kriton* stawia równie poetyczny obraz Sokratesa, przekonywającego uczniów i przyjaciół swoich, że nie uciec z więzienia, do czego mu wszelką przygotowali sposobność, ale mu poddać się wyrokowi śmierci trzeba, i umrzeć za prawdę, której był wyznawcą i nauczycielem. Gdy rzeczpospolita Rzymska na polach Farsalskich skonała, Kato z Utyki nie mógł przeżyć jej skonu, i z najzimniejszą rozwagą, po przeczytaniu w nocy pisma Platona o nieśmiertelności duszy, śmierć sobie zadaje, ginąc za ideę wolności, którą całe życie wyznawał. Prześladowania religijne i polityczne tysiące podobnych nastręczają przykładów, gdzie człowiek wie co robi, i co go za to czeka, a jednak z niewzruszonem postanowieniem idzie na śmierć i męki.

Jakiż więc ostatecznie jest wypadek tych wszystkich poświęceń, któreśmy rozebrali i przedstawili? Oto jak cała natura jest śmiercią i życiem, składem i rozkładem, tak tu jedno z ofiary drugiego powstaje, a wszystko wyższemu celowi służy, w którym utkwiona mądrość Boża; jak w naturze byt każdy ma wewnętrzną siłę, aby ten byt utrzymać, i stawia opór sile, co ten byt rozkłada i niszczy, — tak i w ludzkości, w świecie przez nią wyrabiającego się ducha, musi być walka złego i dobrego, muszą być śmierć i ofiary, czyli muszą być poświęcenia.

W nocnem cieniu zapadłych dziejów, minionej kultury społeczeństw, w niemowlęctwie lub barbarzyństwie ludów, są poświęcenia światłością Bożą, o której kroczył i postępował świat ku Bogu, ku wolności, ku cywilizacyi, ku dobru tak szczególnemu jak powszechnemu. A że nieskończona jest przestrzeń tej drogi, i królestwo Boże nigdy w zupełności nie zstąpi na ziemię; gdy ludzkość w każdem nowem pokoleniu z tą samą niewiadomością niemowlęcia, z temi samemi słabościami i ułomnościami człowieka, z temi samemi żądzami, podnietami i namiętnościami, jak przed wieki się odradza, nigdy też owe walki dobrego i złego, światła i ciemnoty, a zatem i poświęcenia skończyć się nie mogą; jako były, tak są i będą.

Wszakże poświęcający się zasługują na miano świętych. Są istnie synowie boscy, których już stary zakon od synów ludzkich wyróżniał. Są to robotnicy i posłannicy Pana, który im zapłaty dłużen nie zostanie. Ich jest nieśmiertelność!

MARYNA MNISZCHÓWNA.

(Dalszy ciąg).

XXV.

W Polsce dowiadują się o nieszczęściach Sapiehy i Gąsiewskiego. Do króla pod Smoleńsk udają się senatorowie z prośbą, aby drogiej krwi polskiej tak marnie nie dozwalał wylewać się w obczyznie. Przedkładają mu, że jednem wejściem w głąb Rosyi i wprowadzeniem Władysława wszystko uspokoić i krwi polskiej oszczędzić zdoła. Lecz daremne były te słowa kochających ojczyznę doradzców, król w nieprzełamanym swym uporze trwając, słuchał właśnie tych tylko, którzy mu szkodliwe podawali rady. I tak królowa Konstancya, w której sercu mało bardzo, lub nic nie było uczucia dla Polski, pisze do Zygmunta, aby nie odstępował Smoleńska, skoro go już tak długo oblega. Rozumie się, iż rada żony bardziej przypadła do smaku Zygmuntowi, niż rady wszystkich senatorów. Zostaje więc przy Smoleńsku, a do wojsk Moskwę oblegających wysyła tylko posłów, mających zaręczyć spieszną przesyłkę pieniędzy i posiłków wojskowych. Chcąc zaś jeszcze lepiej ubezpieczyć się co do tej na Moskwę wyprawy, zamyśla oddać naczelne dowództwo nad wszystkiemi w Moskwie walczącemi wojskami polskiemi Stanisławowi Żółkiewskiemu. Zapewne, że ten zamiar był bardzo dobrym; nikt z wodzów polskich tej dostojności godniejszym nie był od Żółkiewskiego. Ale dzielny ten hetman, widząc wszystkie swoje zasługi udaremnione, widząc, że trudy i zabiegi jego, któremi był utorował Władysławowi drogę do tronu, były najniewdzięczniej od króla przyjęte, nie chciał już powtórnie narażać się na największe niebezpieczeństwo, i obawiał się przyjąć dla tego najwyższego dowództwa nad wojskiem. Wyrażenie tej odmowy królewskim zamiarom, ułatwiły mu okoliczności polityczne, wołające go na południe z powodu najazdu Multan przez Gabryela Batorego. Król przyznał Żółkiewskiemu, iż on tylko wstrzymać będzie zdolen najeźdzcę, i już nie nalegał na niego o przyjęcie naczelnictwa, tembardziej, iż ukończona śmiercią Karola Sudermańskiego wojna z Szwecyą, sprowadziła mu równie walecznego wodza Chodkiewicza, któremu też natychmiast powierzył przewodniczenie w wojnie moskiewskiej. Chodkiewicz wyprawia się ku Moskwie, i właśnie ta wieść o jego zbliżeniu się pod stolicę moskiewską taką radością Gąsiewskiego i Sapiehę napełniła. Zygmunt zaś z ulubieńcami swemi Potockiemi bawił się ciągle dobywaniem Smoleńska. Jan Potocki porzuca go jednakże wkrótce, bo śmierć wydarła go niespodzianie wojsku, którego hetmanem zostaje obranym brat jego Jakób, kuszący się dla odznaczenia się w nowoprzybranym charakterze wodza, tem więcej o zajęcie twierdzy. Lecz naprożno wszystkie ich usiłowania; wytężającemu się w usiłowaniach o zwycięztwo Potockiemu wydziera pierwszeństwo Nowodworski, który dojrzawszy lochy podziemne pod wałami, zasadza w nie petardę, i sam ją zapala. Tym sposobem robi się wyłom w pękającym murze, i tym wyłomem dwadzieścia miesięcy oblegający żołnierze wchodzą do środka twierdzy. Za niemi ciśnie się cała siła oblegających, innych dróg torując sobie przechody, i w krótkim czasie Smoleńsk dostaje się w ręce Zygmunta. Okropny i bolesny widok przedstawiała ta zdobycz! Pożar, rzeź, rabunek, z najdzikszą wściekłością przez zniecierpliwione wojsko dokonywane, oto trzy krwawe barwy, malujące obraz spustoszenia zdobytego Smoleńska. Nie będziemy się tutaj rozszerzali nad opisem tej tragicznej sceny oblężeńców, chcących zapoznać się z nią bliżej odsyłamy do szczegółowych jej opisów, tu tylko tyle nadmienić musim, iż zdobycie Smoleńska przyspiesza stanowczo zakończenie całego dramatu naszego opowiadania — więc i rozstrzygnięcie losów Maryny. Król widząc nareszcie dwudziestomiesięczny swój upór uwieńczony zwycięztwem — zasypia na laurach. Tak jest, wyraźnie zasypia; bo zamiast mając najważniejsze punkta moskiewskie w ręku, i najlepszych wodzów ku pomocy, jak Chodkiewicza, Gąsiewskiego, Strusia i Sapiehę — iść odrazu z niemi wspólnie działając na Moskwę — on nie mogąc się swojem zwycięztwem nacieszyć, pragnie spoczynku, pragnie uroczystego obchodu, i pod pozorem narady z senatorami nad dalszym biegiem wyprawy — przez Wilno powraca do Warszawy! Nieszczęsny kraj, któremu taki król przewodniczy! Nie brakowało powrotowi

jego do Warszawy wszelkich przepysznych uroczysk, na jakie się tylko najbujniejsza fantazya próżności zdobyć mogła. Illuminacye, ognie sztuczne, tryumfalne bramy, wszystko to witało zwycięzcę króla — który jednak największego wroga Polski, t. j. swego uporu, zwyciężyć nie umiał. Z równie świetną uroczystością odbył się wjazd Żółkiewskiego z zabranemi w Moskwie do niewoli carami Szujskimi. Tych odprowadzono potem do przygotowanych dlań mieszkań, w których jako więźniowie pozostali. Jak zaś dalece ucieszonym się czuł Zygmunt tym swoim tryumfem, świadczy zawezwanie przez niego Dolabelli, nadwornego malarza, aby odmalował i wzięcie Smoleńska i wprowadzenie carów do Warszawy przez Żółkiewskiego. Uskutecznił ten mistrz, którego śliczny obraz Pana Jezusa na srebrnej blasze, jest ozdobą wielkiego ołtarza krakowskiej katedry, polecone sobie dzieła, ale te zabrane później do Moskwy, zapewne zniszczeniem pomszczone zostały. Radością króla przejęty naród, najpomyślniejsze roił sobie z zajęcia Smoleńska nadzieje; a ułudę wymarzonego szczęścia zamieniając w wiarę, najweselszemi oznaki zadowolenie swoje wyrażał królowi. Wszystko już wtedy było w planach. Zajęcie Moskwy, połączenie dwóch wielkich państw w jedno — podbicie reszty świata itp. O ile marzenia te urzeczywistniły się później — rozwój dziejów okazał.

XXVI.

A gdzież Maryna? Cóż ta dumna, z swego tronu strącona carowa porabia? jakież jej plany, jakież jej marzenia? W dość dużem i pięknem mieście, siedmnaście mil od Moskwy odległem, w Kołomnie, w klasztorze świętej Zofii, w trwodze i niepokoju, w żalu i o swe życie w największej niepewności, spędza dni smutku i niedoli, owa niegdyś przepychem tronu otoczona, blaskiem brylantów północnej korony strojna — Maryna, (uwolniona z Kaługi przy zajęciu tego miasta przez Moskali), wyglądając niecierpliwie jakiej pomyślnej wieści od Moskwy, przywracającej ją do tak okropnie wydartych jej praw i rozkoszy. I duma często, i marzy często o przyszłości swojej — o ogień namiętnej zemsty wszystkie obrazy jej marzenia maluje krwawo — okropnie. A kiedy mimowoli w przeszłość swą spojrzy zagasłą... wtedy byś nie naliczył uderzeń szybkich jej serca, anibyś przejrzeć się nie mógł w zachmurzonych mgłą gniewu jej oczach. Okropne dni jej życia, wloką się zwolna, tak ciężko, tak chmurnie, iż jak minione szczęście chwilką się jej tylko wydaje, tak obecna pora zgryzoty wiekami zaledwie zliczoną być może.

Minęły dni radości, nastały niedoli —
Jak tante szybko zbiegły — te pójdą powoli.

Te słowa naszego dramaturga zupełnie do usposobienia Maryny zastósować się dadzą. A jeżeli jeszcze w niej, prócz zdetronizowanej carowej, poznać będziemy chcieli — i matkę dziecięcia, najsłuszniejsze prawa mającego do tronu moskiewskiego, uwierzym, iż tam w tem sercu oziębłem i z uczuć wszystkich wygasłem, mogło choć jedno to uczucie ożyć, po którem matkę poznasz śród tłumu tych, którym niebo nigdy być matką nie dozwoliło. Więc dojrzym tam w tem macierzyńskiem sercu choć małą iskrę uczucia — miłości i tęsknoty. A jeżelibyśmy nareszcie Marynę wyobrażali sobie, jak tego niektórzy chcą koniecznie, jako dziwotwór kobiety, jeżelibyśmy jej grzechami opętanej do tego stopnia, iżby dziecka własnego nie kochała, odmówili wszystkich a wszystkich uczuć, to wtenczas w sercu dostrzeglibyśmy miast miłości — żądzę, i to żądzę nieograniczoną posiadania swego dziecięcia, dla tego, iż ono byłoby jej ostatnią gwiazdką nadziei, przyświecającą jej w drodze do odzyskania tronu. Więc czy tęsknotą, czy tą namiętną żądzą ożywiona, spominała w swem, jakby więziennem odosobnieniu, o dziecku swojem, o synu cara Dymitra I. Dziecię to urodzone w więzieniu w monastyrze Jarosławskim, z obawy aby zawzięci nieprzyjaciele jego ojca, dopiero co zamordowanego, i na niem złości swej nie wywarli, oddane zostało wiernemu kozakowi, który je potem dał do chrztu znajomemu popowi, odkrywszy mu całą tajemnicę. „Pop, by zostawić pamiątkę stanu i urodzenia książęcia, pewne charaktery na plecach mu wypisał.“ I chował się młody Iwan, z dala od swojej matki, między obcemi, a los jego późniejszy pokróce niżej opowiemy. Więc dziecię to było, jak powiedzieliśmy wyżej, ostatnią gwiazdką nadziei Maryny.

Miała jednakże Maryna i swego stróża anioła, swojego opiekuna, który czuwał nad nią i nad jej dziecięciem, który dotąd nie porzucał nadziei wywalczenia tronu dla Maryny, który choć w moskiewskich stanął szeregach, Polakom był życzliwy. A przywiązał się on do Maryny od czasów jej niedoli, i był więc dla tego pewnie prawdziwym jej przyjacielem, bo tylko w nieszczęściu poznać można prawdziwego przyjaciela. Tym przyjacielem, tym opiekunem Maryny był Zarucki, hetman kozaków, wołynianin, przypadkiem wzięty w niewolę moskiewską, służył w wojsku Dymitra Samozwańca, będąc jego nieodstępnym towarzyszem i wiernym aż do końca obrońcą. Po śmierci Dymitra nie opuścił on Maryny, ale jej poprzysiągł pomścić się śmierci męża, i syna jej na tron moskiewski wprowadzić. Utrzymują niektórzy, iż się Zarucki z Maryną ożenił, ale na to nie znajdujemy dość autentycznych potwierdzeń. Równie też co do losów jej syna bardzo niepewne posiadamy opisy. Jedni twierdzą, iż Maryna nigdy się z nim nie rozdzieliła, inni, a mianowicie francuscy spółcześni pisarze utrzymują, iż oddany pod opiekę spomnianemu wyżej popowi, nigdy się młody Dymitr z matką swoją niewidział. Lecz zbyt małą jest ta okoliczność, zwłaszcza że według jednych i drugich zeznań koniec życia młodego Dymitra jest niewiadomym. Później nieco przytoczymy jednakże wyjątek z dzieła J. P. Recolles, który z największą na pozór pewnością twierdzi, iż syn Dymitra I i Maryny ocalony przed nastającemi nań prześladowcami, żył jeszcze za Władysława IV. Lecz zwracamy się teraz do Zaruckiego. Ten przyjaciel, ten anioł że go tak nazwę opiekuńczy Maryny, nie umiał przecież stale dochować jej przyjaźni, i raz jeden gdy do serca jego spomnienie ojczyzny—spomnienie Polski silniej przemówiło, chciał się wyrzec przywiązania swego do Maryny, chciał ją odstąpić i sprawę polską wraz z Chodkiewiczem popierać. Właśnie więc wtedy gdy osamotniona z przyjaciół Maryna, lubo przy niej liczny orszak Polek się znajdował, długie chwile niepokoju liczyła w Kołomnie, wtedy gdy w Zaruckim wszystkie nadzieje pokładając, na wieść jaką od niego niecierpliwie czekała, on wtedy właśnie te jej nadzieje zawodził, i byłby zupełnie już zawiódł, gdyby przeciwne okoliczności nie zmusiły go do odstąpienia od skrytych przedsięwzięć i zamiarów. Rzecz tę opowiedzieć tu musim po krótce, a tem samem zwrócić się znowu ku Moskwie, i przebiedz zdarzenia zaszłe w wojsku polskiem pod wodzą Chodkiewicza zostającem.

XVII.

Na sejmie warszawskim, złożonym dnia 9go listopada 1611 roku, uwzględniając nareszcie przykre z Mo-

skwy powracających wojsk położenie, Zygmunt III zdecydował się zatwierdzić uchwałę poboru, lubo bardzo szczupłego, „i to tylko na cła, na kmieciów i ubogą szlachtę niemającą poddanych.“ Z tego poboru wziął sobie król 100,000, jako zwrot kosztów łożonych pod Smoleńskiem, resztę zaś rozdano między rycerstwo, które z wyprawy moskiewskiej wróciło. W Moskwie zaś zostającym nic nie posłano znowu, przez co umysły już rozjątrzone, do reszty się wzburzyły. A właśnie tam pod Moskwą okropnie się źle wiodło naszym. Po Łopunowie obrany Trubeckoj dowódzcą, choć parę razy od naszych porażony, trapił jednakże przeważną siłą swoją i Gąsiewskiego i Chodkiewicza, który pod samą stolicę nadciągnąwszy, ile mógł dopomagał tracącym siłę i męztwo Polakom. Sapieha dostarczał Gąsiewskiemu żywności, lecz i tej wkrótce znowu zabrakło. Struś zaś, mogący siłą swoją, działając wspólnie z Chodkiewiczem, dużo bardzo w tem nieszczęściu dopomódz, będąc od Potockich, jako krewnych, podburzony urazą, że nie jego ani żadnego z *nich*, ale Chodkiewicza naczelnym wodzem obrano, miast dopomagać, szkodził tylko całej tej i tak dość zawikłanej sprawie, podburzając pułki do nieposłuszeństwa hetmanowi, i namawiając do wysłania prośby o żołd do króla. Chodkiewicz więc pragnący wojskową sumiennością, ale sumiennością dobrego Polaka, utrzymać wojsko w porządku, zaprowadził w niem zwykłą karność, której Gąsiewski ani Struś nie zachowywali. Tem jednakże oburzył ku sobie do tego stopnia wszystko wojsko, iż gdy objeżdżał twierdze i pułki, przeglądając czy wszystko jest w porządku, powszechnie i bezczelnie na niego szemrano. Na domiar tego wszystkiego umiera Sapieha, nieposłuszeństwo i bezkarność wojska wzrasta do tego stopnia, iż donoszą królowi, że gdy im żołdu nie nadeśle natychmiast, opuszczą stolicę 6go stycznia następnego t. j. 1612 roku. W stolicy podobnież usposobione wojsko z okrzykiem niezadowolnienia przyjęło Chodkiewicza. Napróżno przemawiał do ich uczucia miłości ojczyzny, napróżno zaręczał rychłe przybycie Władysława, nic nie pomagało, wszyscy zażądali opuścić stolicę, jeden głos, jedno hasło brzmiało w niesfornych szeregach: Wyjdziemy z Moskwy! opuścim stolicę! Nie widząc sposobu powstrzymania wzburzonego żołdactwa, wyprowadza nareszcie Chodkiewicz z Moskwy znędzniały, w obdartej odzieży i zgłodniały oddział do Rochaczewa. Łzy w oczach mężnego wodza modliły się o litość nad nieszczęsnemi do Boga. Chcąc jednakże ostatnim środkiem złemu zapobiedz, próbuje Chodkiewicz ostatniego sposobu, t. j. chce przynajmniej rozerwaniem sił nieprzyjacielskich, których pokonać nie mógł, osłabić ich stanowisko. Wchodzi więc w porozumienie z Zaruckim, i udaje się mu przez odważnego pośrednika przesłać listy o układy traktujące. I wtedy to właśnie Zarucki, wzruszony namową Chodkiewicza, przypominającego mu, że jest Polakiem, że z Polakami trzymać winien, postanawia wyrzec się Maryny i Moskalów, i z hetmanem połączyć swoje siły. Niegodziwa jednakże zdrada przerwała ten piękny czyn nawrócenia odstępcy. Zdrajcą układów Chodkiewicza z Zaruckim był Chmielewski rodem z Łukowa. Ten Trubeckiemu doniósł o ich korespondencyach. „Wzięto na męki w tajemnicy będących Polaków i wszystkich rozmaitą śmiercią pomordowano.“ Zaruckiemu udało się jednakże umknąć; z kilku przyjaciołmi uciekł do Kołomny, powracając do tej, którą właśnie odstąpić zamierzał. Tak więc zdrada nie pozwoliła upadłemu podźwignąć się z upadku, złamała zamiar powrócenia na drogę prawą i zwróciła go do dawnych grzechów... Nie wiele radości, nie wiele nadziei przywiózł Marynie Zarucki. Ona tak chciwie pragnęła wieści z Moskwy, rojąc i marząc o nawróceniu się do niej jej poddanych, a tu Zarucki donosi jej o najzawziętszej na nię srogości Moskali!... Czekać więc i spodziewać się jeszcze! Lecz jak długo?... O! może bardzo krótko. Może już bliską jest chwila, w której się wszystkie jej cierpienia zakończą... *(Dok. n.)*

TRZPIOTKA.

Przed zwierciadłem dziewczę stoi,
W kapelusik główkę stroi,
Oczka mruży, włoski muska,
A po twarzy uśmiech pluska.

Bo w zwierciedle druga róża
Włoski muska — oczka zmruża,
Drugie liczko krasne, białe,
I w uśmiechu ząbki białe.

To odbiegnie — to przybieży —
Kapelusik źle jej leży —
To kokardka źle związana,
To płaszczykiem źle odziana.

Idzie, jeszcze główkę zwróci,
Jeszcze za się oczkiem rzuci,
I jak ptaszek po nad wodą,
Tak się pieści swą urodą.

„Eh! nieznośni są ci młodzi,
„Więc się gapią, gdzie się ruszę,
„Eh! nieznośni są ci młodzi,
„Więc się dla nich stroić muszę.“

I pobiegła ukłonami
Darzyć młodych, i oczkami
Połaskotać serca młode,
Co się gapią w jej urodę.

Bo też gapić się w nią godna,
Jak aniołek tak urodna,
Jak habinka — taka wiotka,
A jak rybka taka trzpiotka.

A gdy jeszcze się zadąsa,
Lub zasmuci, lub jej nudno,
Główkę zwiesi, lub nią wstrząsa,
To napatrzyć się jej trudno.

E! niepowiem wam już więcej,
W młodych sercach krew nie woda,
Wyście młodzi — ona młoda —
Młodość czuje najgoręcej.

1859 r.

M. Bałucki.

PROTEKCYA I INTRYGI,

USTĘP z ŻYCIA ZNAKOMITEGO

RZEŹBIARZA

w Polsce z wieku XV.

(Ciąg dalszy).

XII.

Stanowcza chwila.

Nie poszedł Wit od razu nazajutrz do Wyrębskich — dawna a wrodzona mu nieśmiałość stawiała mu ciągle przeszkody w doprowadzeniu do celu swego przedsięwzięcia, lecz gdy nareszcie w tem wahaniu się przeważyły i rady przyjacielskie i pewna wiara w dobry skutek tej całej sprawy, postanowił nieodwołalnie udać się na trzeci dzień do burmistrza. Do tego stanowczego kroku przygotowywał się modlitwą i obrachunkiem własnego sumienia. Sumienie nic mu zarzucić nie mogło; Wit był zawsze człowiekiem zacnym, prawym i rzetelnym.

Nazajutrz tedy rano po ostatecznem postanowieniu, poszedł Wit do najbliższego kościoła, wysłuchał mszy świętej z nabożeństwem, a potem klęknął przed konfesyonałem, w którym sędziwy kapłan słuchał spowiedzi pobożnych Polaków.

Wit się także wyspowiadał.

Po przyjęciu zaś Najświętszego Sakramentu, po odmówieniu gorących modłów i wysłuchaniu jeszcze jednej mszy świętej, lekki i czysty jak gołąbek zdążał do mieszkania Wyrębskich.

Państwo burmistrzostwo z planu i wyrachowania przyjęli go nadzwyczaj uprzejmie, utraktowali nawet, co im się bardzo rzadko zdarzało, i pozwolili mu z Zofią sam na sam rozmawiać. W tej rozmowie, którą Zofia z równą otwartością i szczerością, jak pierwszym razem wiodła, Wit jednakże nie spomniał ani słówka o ołtarzu, Zofia zaś, ma się rozumieć, nie mogła wcale o tej rzeczy z nim rozmawiać, nie wiedząc o tem, co się stało.

Państwo Wyrębscy bowiem w porozumieniu z nieoszacowanym ich doradzcą panem Strenglem, uradzili nakoniec, aby nic o tem Zofii nie spominać, ufając bowiem w poczciwość swej córki, mogli byli z pewnością przypuszczać i przypuścili nawet, że ta nie będzie chciała własnego ojca potępić, skoro się dowie od Wita, iż doniesiono mu w imieniu jej ojca, jakoby ona życzyła sobie mieć ołtarz jego na własność. Przypuszczenie to, aczkolwiek niegodziwe, było bardzo uspakajającem dla intrygantów; Zofia musiałaby niezawodnie tak zrobić w danym razie.

Rozmowa więc Wita z Zofią była prowadzona ogólnie i z żadnej strony nie była sprowadzoną do bliższego przedmiotu. Zofia nie czuła tego potrzeby, a Wit nie miał odwagi. Lecz i z tej ogólnej rozmowy Wit był zadowolniony, był szczęśliwy. Rozpromieniona radością twarz jego jaśniała światłem szczęścia i wewnętrznej rozkoszy. Otwartość Zosieńki stwierdzała bowiem każdem niemal słowem jego własne przypuszczenia i ułudy, już teraz wierzył prawie, że ona go kocha.

Kiedy już rodzicom pięknej Zofii wydał się czas ich rozmowy dość długi, przerwali ją nieznacznie ukazaniem się swojem w obec nich. Najprzód wszedł pan burmistrz, za chwilę po nim Jejmość pani burmistrzowa.

Rozmowa szła trochę oziębłej, Wit nie znajdował już w niej tej rozkoszy, jaką był upojon podczas rozmowy z Zofią.

Wkrótce też uprzejme gospodarstwo pożegnał, na odchodnem dostał najserdeczniejsze od nich zaproszenie częstszego odwiedzania ich domu. Przyjąwszy to zaproszenie z radością, wybiegł szybko na ulicę.

— I jakże ci się Zosieńko podoba ten młody człowiek, zapytał się ojciec swej córki.

— Bardzo miły, odrzekła Zofia, wykształcony, pracowity, a nadewszystko nie zarozumiały.

— Jakoś go chwalisz moje dziecię, mówił głaszcząc ją po twarzy burmistrz — no, no, młodzi jesteście jeszcze... Co miały znaczyć te dziwne słowa ojca z takim grymasem wypowiedziane — Zofia zupełnie nie wiedziała, domyślać się jednak mogła, że jej rodzice są w pewnym błędzie, z którego ich postanowiła wyprowadzić wkrótce.

Takie odwiedziny Wita powtarzały się coraz częściej. I tydzień upłynął, a nie było dnia, w którym by Wit nie widział Zofii. Lecz skoro był już jej bliższym, skoro znajomość ich nadawała rozmowie ton pewnej poufałości, pewnego zaufania, Wit nie znajdował żadnej różnicy w usposobieniu dzisiejszem Zofii, od tego w jakiem była, gdy z nią był pierwszy raz rozmawiał.

Przeciwnie nie uszło to baczności i przenikliwości Zofii, że Wit będąc z nią coraz śmielszy, coraz więcej ukazuje jej uczucia, któremu wywzajemnić się nie umiała. Owszem poznawszy go lepiej, utwierdziła się jeszcze mocniej w tem o nim przekonaniu, że jest artystą wielkim — ale nie wielkim obrońcą ojczyzny. To przekonanie tem silniej oddalało ją od niego. Pewnego wieczora nadeszła stanowcza chwila, rozstrzygająca rzecz całą.

Wit, jak zwykle przyszedł do burmistrzostwa wieczorem. Była godzina 6ta. Zofia przyjmowała go wraz z matką, lecz wkrótce potem matka odeszła a Zofia została sama z Witem.

— Panno Zofio, rzekł zdecydowany do uczynienia stanowczego kroku Wit-Stwosz, dozwól zrobić mi przed Tobą wyznanie najgorętszych uczuć mego serca.

Zofia spojrzała się tak ostro w oczy mówiącego, iż ten ze swemi oczami musiał się ukryć, zwracając wzrok ku ziemi. Jest dzielna moc wzroku dziewicy, której przezwyciężyć nie można.

— Lękam się słów waszych panie Wicie, rzekła na to Zofia, choć ich jeszcze dobrze nie rozumiem.

— Kocham cię Panno Zofio! racz mi więc odpowiedzieć czy nie grzechem jest miłość moja.

Zofia zmięszała się bardzo. Uczciwość jednakże jej wrodzona, i szacunek jaki miała dla Wita, były jej pomocniczemi środkami do wyjścia zwycięzkiego z tej kolizyi. Rzekła więc:

— Nie jest grzechem wasza miłość panie Wicie, jako niczyja miłość grzechem nigdy nie jest, ażaliby jednak szczęściem wam być miała, nie wiem.

— Wszak jeno to szczęście od ciebie panno Zofio, zawisło.

— Ja wam go zapewnić nie mogę.

— Jestżem ci tak natrętnym, panno Zofio?

— Bynajmniej. Waszmość mi jesteś bardzo miłym, szanuję was panie Wicie, ale to pono nie dosyć do tego szczęścia o jakiem myślicie. Że was szanuję, dla tego tylko mówię wam szczerze i otwarcie, że wywzajemnić się wam za wasze uczucia, nie mogę, nie umiem.

— A może to jeno, mówisz tak piękna panno Zofio, przez skromność — szacunek twój jest już wielką wzajemnością z twej strony dla mnie.

— Jednakowoż waszmość pozwolisz sobie szczerze oznajmić, iż mowa wasza do tego zmierza, iżbyście pragnęli mej ręki.

Wit spojrzał tylko na Zofię — a w tem spojrzeniu zawierała się cała odpowiedź jego.

— Tej jednakże ja wam nie oddam, mówiła z mocą i godnością Zofia — chcielibyście bowiem, jeżelim was dobrze poznała, mieć rękę moją wraz z sercem, a nie przyjęlibyście jej niezawodnie gdybym ze siebie zrobiła przymus i poświęcenie, tylko z litości nad wami.

— Gorzkie i bolesne to są słowa, panno Zofio.

— Miałażem je oprawiać w strojne ułudy kolory — miałam może robić wam nadzieję, którą wcześniej czy później samabym zburzyć musiała? Nie jestem do tego zdolną. Co czuję, to mówię. Nie taję iż mi was żal, panie Wicie, żal bardzo, iż z mej przyczyny macie utrapienie i niepokój. Lecz oddajcie się opiece Boga i Matki Przenajświętszej, a serce wasze uspokoi się na nowo, i wy będziecie szczęśliwi. Ja was szanować nigdy nie przestanę, będę przyjaciołką waszą — wy bądźcie też moim przyjacielem.

— Ciężką Pan Bóg zesłał próbę na słabego człowieka.

— Pocieszcie się.

Właśnie na te słowa wszedł pan Wyrębski trzymając jakiś rozpieczętowany list. List był duży, formy urzędowej.

— Co to ma znaczyć? mówił niby do wszystkich i niby sam do siebie pan burmistrz. Tak pilno. Jutro. Coś w tem jest ważnego. Ha! zobaczymy. Aha! wy tu, rzekł zwracając się do Wita i Zofii — jestem trochę roztargniony; Jego Excellencya ksiądz kardynał Fryderyk kazał mi tym listem odręcznym zwołać na jutro walne zebranie wszystkich rajców i ławników — i nie spomina ani słówka o celu tego zgromadzenia.

— Rzecz dziwna, zauważył Wit, któremu te słowa wyleciały z ust, jak nabój przez nieostrożność wystrzelony. O czem innem on myślił. Nie mógł dłużej pozostać na tem miejscu gdzie usłyszał tak okropne wyrazy przed chwilą — pożegnał się też spiesznie i wybiegł jak szalony do domu.

— Dla czego ona to zrobiła? myślił przez drogę nieszczęśliwy, wierzący jednakże jeszcze i teraz w urojoną przez siebie i minstrela miłość Zofii. To zapewne musi być intryga rodziców, którzy jej zakazali przyjmować me oświadczenie. Przekonam się o tem. Dzisiaj jeszcze. Zaraz w tej chwili. To mówiąc zwrócił się do domu państwa Wyrębskich i w parę minut był już w ich mieszkaniu.

— Ważna sprawa, przebaczcie mi łaskawy panie burmistrzu, żem tak do was natrętny, chciałbym z wami waszmość panie dobrodzieju, oraz z jejmość panią burmistrzową słóweczko na osobności pomówić.

— Służę wam, mości Wicie, rzekł domyślający się wszystkiego pan burmistrz i wprowadził gościa do swojej komnaty.

Zaczekajcie tu chwilkę, wnet tu z moją żoną przyjdziemy.

Wit został sam w komnacie burmistrza, i niecierpliwie czekał ostatniego wyroku swego.

Gdy zaś burmistrz biegł po swoją żonę, ktoś zapukał i ukazał się Strengel.

— A co się tu dzieje, zapytał się wsuwając głowę przez drzwi.

— Konkluzya. Oświadczać się będzie.

— I cóż robicie?

— Ha, wedle naszej umowy, zrobimy mu nadzieję, nie odmawiając zupełnie.

— To na nic. Wszystko naprożno. Zerwać z nim zupełnie. Co do ołtarza wszystko dobrze. Będą pieniądze niezadługo. A jego deklaracya jest najlepszą rękojmią naszej wygranej nawet w sądach. Nie ma więc co bawić się z wyrobnikiem, tylko mu dać do zrozumienia, aby sobie poszedł precz i więcej do was nie zajrzał.

— Tak myślisz. Wolałbym tak zrobić. Nudzą mię już okropnie jego konkury.

— Przekleństwo! zaryczał Strengel, któremu jakaś dziwna myśl zazdrości zaświtała w głowie.

— Więc odmówimy.

— Odmówić i wypędzić. Już ja w tem, że sprawę o ołtarz wygramy. Bywajcie zdrowi, do widzenia. Szczęść Boże. To rzekłszy zbiegł szybko na dół.

Niecierpliwiący się Wit tymczasem oczekiwał z coraz większą niecierpliwością rodziców Zosieńki. Wiemy zaś dla czego się opóźnić trochę musieli. Wreszcie nadeszli. Wit się obojgu skłonił pokornie i w krótkich słowach, według obyczaju i formy, dość już opisanej po innych opowiadaniach, wyraził swą miłość do ich córki i prośbę o jej rękę.

— Co? o rękę naszego córka? zawołała jejmość.

— Jak to — śmiałbyś więc o tem myśleć, krzyknął jegomość.

— Moja córka ma już nobl partyą, z bogatego szlachcicem, a ne z tak biedny robotnik.

— Mości Wicie, przyznam ci się, iż nie myśliłem, że tak niegodziwie nadużyjesz gościnności z jaką cię w mym domu przyjmowałem. Uważaliśmy cię za człowieka porządnego, i jako takiego radzi widzieliśmy cię u siebie, lecz teraz nie weźmiesz mi tego za złe, jeżlić powiem, abyś nie ważył się przekraczać progu mojego, skoro tak dumne i nierozsądne plany przyprowadzały cię do mnie.

— A nech Herrgot broni! ein handwerker monsz z mego córka! łapiąc się niezgrabnie za głowę wołała jejmość pani burmistrzowa.

— Więc mi przebaczcie państwo moję śmiałość — więcej wam nie będę natrętnym. Drżącym krokiem wysunął się Wit po tych słowach do sieni — i już nie prędkiemi ale bardzo powolnemi schodził po s.hodach krokami, opuszczając dom ten na zawsze, w którymby na zawsze pragnął pozostać.

Gdy odszedł, burmistrzostwo roześmiali się z niego na całe gardło, tak że szatańskiego ich śmiechu echo, uderzyło o złamane serca Wita. — Takie szyderstwo pobudza do szaleństwa, czasem do litości.

Wit zapłakał nad niem, i powrócił do siebie. Tam stanął znowu przed Zofią — rzeźbiona jej postać wydawała mu się teraz litościwszą od rzeczywistej — rzeczywista go odepchnęła — rzeźbiona go kochała. Przed nią rzekł głośno:

— Pierwsze uczucie żalu i litości, jakiem w godzinie zrodzenia się mej miłości, uwieńczyłem ją sam sobie, było najświętsze. Reszta, to tylko fałsz — ułuda i czcze marzenie. — Powiedział najświętszą prawdę.

Ale powiedzeniem tem nie uspokoił się wcale. Cios jaki dziś uderzył w jego serce, był za wielki, aby go uczuł w całej grozie jego własności. Przeczuwał więc tylko to nieszczęście jakie go spotkało, ale go nie czuł w całości, nie rozumiał. Przepłakawszy resztę dnia tego bolesnego, zakończył go nareszcie modlitwą, która wielkim spokojem napełniła mu duszę. Usnąwszy widział Zofię w wieńcu ślubnym przed swoim ołtarzem — lecz nie on jej był panem młodym.

XIII.

Zgromadzenie rajców.

Rozniepokojony i rozciekawiony do najwyższego pan Wyrębski zwołaniem tak niespodziewanem walnej rady na ratuszu, na którą sam biskup Fryderyk, syn kró-

lewski przyjść przyobiecał, rozesłał czemprędzej wezwania do wszystkich rajców, których grono po większej części z samych Niemców się składało. Przytoczymy tu niektórych autentyczne nazwiska, a mianowicie znajdujące się na akcie wybudowania ołtarza do kościoła Panny Maryi, który to akt jako ważna historyczna pamiątka, w archiwach tego kościoła znajduje się po dziś dzień przechowany *). Rada miejska nowa i stara składała się na on czas z 24 mężów, z których każdy wedle późniejszego dopiero, bo za Zygmunta I z r. 1524 przywileju, pobierał po jednej miarze soli warzonki lub drobnej co kwartał z żup krakowskich. Owóż siedzący rajcy w tej radzie byli: Valter Kezinger, Jan Karnowski, Jan Theszner, Stanisław Przedbor, Stanisław Zygmuntowicz, Jan Klethner, Jan Gawron, Jan Thursy, Marcin Belse, Jan Wirsingk, Paweł Newburgier, Mikołaj Krejdler, Jakób Sweidnizen, Jan Gertsman, Jakób Witkowski, Marek Thew, Mikołaj Wolfram, Peter Lang, Stanisław Kunca Zarogowski, Jan Tigil, Paweł Bersefried, Bethman i Jan Brogh. Z tych panów rady i zezwolenia poczęto robić ołtarz, a osobliwie tej roboty doglądali Kejdler, Peter Lang i Christof Rebemz z Maryemburga pisarz miejski. Oni to użebrali prawie, jak w wspomnianym akcie jest wyrażono, sumę 2808 złotych na koszta tej roboty, bo ratusz ani skarb publiczny nie chciał dać nic naprzód. Trzeba nam w tym względzie zważać, że robota tego ołtarza rozpoczęła się przed 12 laty od rozpoczęcia naszej powiastki, Wit jeszcze wtedy nie znał się ani z Fryderykiem, ani z Długoszem, przeto też tacy panowie rajcy, rozumiejący przecie potrzebę wielkiego ołtarza do kościoła Panny Maryi, jemu dopomagać musieli. Z niedowierzaniem wprawdzie powierzono mu tę robotę, widzimy nawet, że do doglądania jej wyznaczyła rada umyślną komisyę, jednakowoż i o pieniądze się starano, i wielką pieczę nad samym robotnikiem, jako też i jego pomocnikami miano.

Ci więc wszyscy wymienieni tu panowie rajcy, jako też oprócz nich ksiądz pleban, Jorek Schwarc, jego sekretarz, pan Sturz, Hieronim i Antoni Kulnerowie, i pan Johan Strengel zaproszeni byli na radę na dzień, który już właśnie nadszedł. Wit-Stwosz miał także na to zgromadzenie wezwanie, ręką biskupa Fryderyka podpisane, o tem jednakże ani pan burmistrz, ani żaden z rajców, ani nawet przebiegły Strengel nie wiedział.

Nadeszła nareszcie zapowiedziana godzina zgromadzenia. Burmistrz a za nim wszyscy rajcy siedzący, zasiedli swoje miejsca w półokrąg wielkiego, zielonem suknem nakrytego stołu — wielka cisza zalegała salę umyślnie na zgromadzenia takie przeznaczoną, a po jej ścianach pozawieszane obrazy królów i senatorów, przypatrywały się z dziwnym jakimś wyrazem na twarzy, tym nowym obcym posłańcom, którym rada o losie miasta polskiego powierzoną była. Ukazał się wreszcie sam biskup, Fryderyk Jagiellończyk, otoczony kilku kanonikami, z pomiędzy których wymienimy tu tylko Jana Długosza, i tegoż biskupa, i jego braci, późniejszych królów, nauczyciela. Weszli, a rada cała powstała. Fryderyk zasiadł na tronie ozdobionym przez samego pana burmistrza, kanonicy tuż koło niego.

Biskup zagaił posiedzenie w ten sens: Zgromadziliśmy się tutaj dzisiaj celem odczytania ostatniego przywileju królewskiego, odnoszącego się do osoby, na którą właśnie czekamy. Tą osobą jest znajomy zapewne Waszmościom Wit Stwosz, a twórca znakomitego arcydzieła, które na ołtarz do kościoła Panny Maryi jest przeznaczonem, a za które Jego królewska mość, spomnianemu Witowi-Stwoszowi udziela właśnie ten przywilej, z którego odczytaniem zaczekamy aż do przybycia zawezwanego tu mistrza.

Zimny pot oblał wszystkich znawców i biegłych w sztuce. Burmistrz pobladł i najwięcej wziął do serca tę sprawę.

W tej chwili wszedł młody i ślicznie wyglądający artysta, którego oblicze mówiło wszystkim o wielkości duszy i serca. Wszedł, skłonił się wszystkim uprzejmie, a biskup wskazując mu osobne krzesło rzekł doń:

— Usiądź mój przyjacielu, i posłuchaj tych kilku słów, które ci sam odczytam.

Wit zadrżał z podziwu i przerażenia. W osobie bowiem wysokiego senatora, biskupa i kardynała, poznaje tego samego minstrela, który u niego bywa, z którym w tak przyjacielskich żyje stosunkach — nie może sobie tego od razu wytłómaczyć, zdaje mu się że to sen, że to jakieś przywidzenie — i mimo walki nad sobą nie może ukryć swego pomięszania.

Obecnych uwagi nie uchodzi ta zmiana w jego obliczu. Zaczynają coś szeptać między sobą — Fryderyk zaś sam się odzywa znowu: — Niechaj cię Wicie nie dziwi to, co widzisz, wkrótce dowiesz się o wszystkiem, bądź tylko przekonanym, że szczęście które cię spotka za chwilę, własnej tylko zawdzięczyć musisz zasłudze.

Wit powstał i skłonił się prezesowi rady.

Reszta panów nie pojęła słów biskupa, czekano więc niecierpliwie i z wielką ciekawością na to co nastąpić miało, a czego się w największej obawie instynktowo domyślali.

Ksiądz biskup zaczął tedy, powstawszy, czytać przywilej Najjaśniejszego Pana, Kazimierza Jagiellończyka, z Bożej łaski króla polskiego, w. księcia Litwy etc. etc. Przywileju tego nie mając pod ręką, przytoczymy tu tylko rzecz którą on opiewał. Owóż tedy król najłaskawszy dla swych poddanych i ceniący wielce wszelki wyższy talent i zasługę, nadaje Witowi-Stwoszowi, rzeźbiarzowi i snycerzowi, w uznaniu jego pracy i zdolności prawo obywatelstwa, podnosząc go zarazem do godności szlacheckiej. Ołtarz do kościoła Panny Maryi przeznaczony, na rzecz skarbu nabywa, nakazując natychmiast zań młodemu mistrzowi wypłacić summę w ilości 100 kóp szerokich prazkich groszy, (co znaczy 8000 złp. a co na owe czasy, zważając wysoką wartość pieniędzy, wielką już stanowiło fortunę). Król tę summę przeznaczając uwzględnił potrzebę dalszego kształcenia się i wydoskonalenia w swym zawodzie Wita-Stwosza, i udania się jego w tym celu za granicę, mianowicie do słynnego miasta Norymbergi. Przytem nadmienił też ksiądz biskup, iż nieprzychylny sąd delegowanych a biegłych w sztuce, uważa się za przypadkowy i nie były, przez przypuszczenie, iż delegacya nie była złożoną z dość znających się na sztuce. Co się zaś tyczy wymuszonej darowizny spomnianego ołtarza, tę ogłasza się także za nieważną. Podpisano własnoręcznie przez króla jegomości.

Można sobie wyobrazić jakie okropne wrażenie zrobił ten odczytany przez księdza biskupa przywilej na słuchaczach. Burmistrz do najwyższego stopnia pomięszany przeklinającem spojrzeniem poglądał ciągle na Strengla, który się znowu kręcił i wił niecierpliwie na krześle; ksiądz kardynał wiedząc o wszystkiem, wiedział także bardzo jak ten przywilej przyjętym zostanie. Powstawszy, podał zaopatrzony pieczęcią królewską dyplom na pergaminie wypisany artyście, i uścisnąwszy rękę nieposiadającemu się ze szczęścia Witowi, winszował mu zdolności i przyszłych w jego zawodzie powodzeń. Toż powtórzył Długosz i inni kanonicy, a za nimi burmistrz oraz całe zgromadzenie rajców.

---

*) A. Grabowski. Kraków i jego okolice.

Zemściwszy się w tak szlachetny sposób ksiądz kardynał powstał, zbliżył się do Wita-Stwosza, zaprosił go do siebie i wyszedł. Wkrótce rozeszli się wszyscy, Wit wyszedł za kardynałem — a pogłupieli, pomięszani i źli panowie rajcy dopiero wtedy wszczęli między sobą szepty, rozmowy i to rozmowy coraz głośniejsze, burzliwsze i wściekléjsze.

— Król za nim, biskup za nim, i cóż mu zrobisz! zawołał załamujący z rozpaczy i gniewu ręce Strengel, i zwracając się do burmistrza dodał: Straciliśmy wszystko!

— I dobre imie, odpowiedział z prawdziwym gniewem burmistrz, odwracając się od pokusy, na którego teraz całą swą kompromitacyę zwalał; bodaj to mieszać się w takie brudne intrygi. Po tych słowach pożegnał zgromadzenie i wyszedł.

Strengel zagryzłszy wargi pomyślił sobie: O źle! może mi córki nie dać... Ale uspakajając się zawołał w końcu: da się to jeszcze jakoś przerobić.

Zgromadzeni wychodzili w małych kółkach rozmawiając o wysokiej dobroci króla, i o wielkich względach, jakiemi obdarzył i zaszczycił Wita.

— Trochę w tem jest niesprawiedliwości, mówił Sturz do Hieronima.

— Ha! mój bracie, tak się dzieje zwykle, odpowiedział na to znawca.

Inni mówili, że jest w tem jakaś tajemnica, której się już domyślano po trochu — która jednakże gdy zostanie całkiem odkrytą, rzecz tę wyjaśni dokładnie.

Na tem skończyło się walne zgromadzenie zawstydzonych, i w szlachetny sposób za swą niegodziwość ukaranych rajców, i biegłych w sztuce delegacyi.

(Dokończenie nastąpi).

Wystawa powszechna
Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych
w r. 1861.

(Ciąg dalszy).

W numerze 19ym naszego pisma zrobiliśmy krótki przebieg obrazów na tegoroczną wystawę nadesłanych, a pierwszą częścią katalogu objętych. Teraz w dalszym ciągu naszego pobieżnego sprawozdania musimy szanownym czytelniczkom donieść o później nadesłanych, ale wartością na uwagę zasługujących. Między temi pierwszeństwo niezaprzeczenie należy się obrazowi historycznemu p. Jana Matejki. P. Matejko prawdziwym obdarzony talentem, obrawszy sobie najszczytniejszą i najtrudniejszą gałęź sztuki malarskiej, robiąc do niej głębokie i pracowite studya, postępuje na drodze, tak w rzeczywiste talenta u nas ubogiej z prawdziwą dla siebie chwałą, a dla kraju i naszego Krakowa, który jest jego rodzinnem miastem, chlubą i zaszczytem. Tego roku wydane przez niego, i wielkiej pracy i historycznych szperań owocem będące stroje polskie od najdawniejszych czasów, aż do wieku XVIII, są najlepszą dla nas rękojmią, że p. Matejko historyczny malarz-artysta, najpiękniejszej przyszłości spodziewać się ma prawo. Dzieło jego na tegorocznej wystawie się znajdujące, przedstawia scenę bolesnej pamięci, zbrodni przez Samuela Zborowskiego dokonanej na Wapowskim. Napół umarłego, mściciel niewinności, Tenczyński, stawia przed zdumionym królem Henrykiem Walezyuszem, dopominając się sprawiedliwości. Nie będziemy się teraz rozwodzić nad zaletami, których jest w tym utworze pełno, powiemy tylko, iż fakt historyczny obrany za treść tego obrazu, tak żywo i tak artystycznie przemawia do duszy widza—jak przemawiać winny postacie historycznego dramatu, przez dobrych odegrane artystów. Widzimy więc i piękną grupę, widzimy charàktery historyczne aż do podobieństwa (np. Henryka Walezyusza) przez artystę oddane— czujemy nadewszystko w swem sercu wszystko to, co uczuć mogli i powinni naoczni świadkowie owej smutnej z dziejów naszej katastrofy. Jest więc historyczna prawda, jest piękność artystyczna, jest naturalność życia — w postaciach i w ich ruchach. Są więc wszystkie wymogi estetyczne — o dobrym bowiem rysunku u takich jak p. Matejko artystów, ani mowy być nie może, jak nie może być mowy o piękności języka u gienialnych wieszczów— w poezyi. Życzymy nadal szczęścia p. Matejce: wytrwałość i wiara niechaj go zaprowadzą jak najdalej.

Nie tej artystycznej ceny i nie tej wysokości oglądaliśmy obrazy również historycznej treści pp. Leopolskiego Wilhelma i Eliasza Walerego. P. Leopolski pełen uczucia poetycznego i talentu, nadesłał na tegoroczną wystawę „uprowadzenie rannego z pobojowiska“. Utwór ten zaleca się szczególniej przemawiającem do serca uczuciem, odnawiając w duszy patrzącego się Polaka rzewną pamięć walecznych i rycerskich czasów przeszłości. Obraz przedstawiający scenę z wojny trzydziestoletniej, trescią nie obchodzący nas tyle, co najmniejszy rapsod z naszych dziejów, ma wiele artystycznych zalet, mianowicie też odznacza się scenicznym effektem grup dramat ten przypominających.

Szkoda że p. Leopolski nie nadesłał jeszcze i na tegoroczną wystawę swego wysoką wartość artystyczną mającego obrazu z ostatnich lat panowania Stanisława Augusta. Na przeszłej bowiem wystawie w ostatnich dniach tejże dopiero był się on pojawił. Przedstawia zaś „Smutną wiadomość“ jaką kwestarz wnosi w dom staropolski o nowej a okropnej klęsce kraju. Sliczny pomysł, doskonałe wykonanie. Obraz ten zapowiedział p. Leopolskiemu znakomitą przyszłość.

Pan Eliasz, młody artysta dostarczył dwóch obrazów wystawie tegorocznej, z tych, zważywszy trudność uchwycenia najtragiczniejszej sceny z życia bohatera *Sawy*, i przez to, ten lub ów brak doskonałości uwzględniwszy, powiedzieć trzeba, iż „śmierć Sawy“ daleko lepiej udała się p. Eliaszowi, niż „dumka ukraińska“. Dumka ukraińska to naśladowanie. Jako zaś takie, nie mogło się nawet udać artyście. Wreszcie wszystkie te smutne, posępiałe twarze, mająż oznaczać wrażenie, jakie dumka śpiewana przez starego lirnika wywołuje? Czyż dumka pochmurza czoło zawsze? Nie jest że to poezya najpiękniejsza, najliryczniejsza? Patrzący na taki obraz powinienby w duszy swojej słyszeć czarowną nutę ukraińskich dumek...

I mnie matka Ukraina!...

To przecież aż rośnie życie w duszy człowieka, gdy pieśń taką posłyszy... Takiego wrażenia nie uczuł widać twórca obrazu dumkę ukraińską przedstawiającego. W „Sawie“ widać więcej siły, więcej prawdy, lubo nie jest to skończoność dzieła. Droga jednak postępu otwarta. Szczęść Boże na niej!

Obrazów religijnej treści było na tegorocznej wystawie kilka. Kopie z Carlo Dolce, Guidona Reniego, Rafaela, nie były ostatniego penzla; lecz za to oryginalne były niektóre prawdziwemi bohomazami. Później nadesłany obraz przedstawiający śmierć ś. Salomei, utworu p. Floryana Cynka, wyłączną stanowi kategoryą. Jestto obraz nie małej wartości. P. Cynk, Krakowianin, ma piękny talent, a jako obrany przez niego rodzaj religijnego malarstwa, wymaga bardzo wiele studyów i natchnienia, tak p. Cynkowi nie zbywa na jednem i na drugiem. Artysta ten jest na drodze postępu, nie wątpim także, iż coraz lepszemi utworami wzbogacać będzie nasze religijne malarstwo. Nie był on jeszcze za granicą, nie zwiedził arcydzieł gieniuszy świata, jesteśmy jednakże pewni, iż gdy je obaczy, pewno nie powróci do kraju z tym jaskrawym poglądem na sztukę, prócz którego wielu nic więcej, z Włoch mianowicie, do nas nie przywiozło. *(Dok. n).*

Opisanie ryciny mód paryskich za miesiąc maj:

(Dołączyliśmy ryciny mód w przeszłym Nrze).

Tualety wiosenne. *Ubranie pierwsze.* Suknia z tafty zielonej, (vert Isly), stan do połowy wycięty (à la vierge) obszyty ruszą wycinaną. Rękawy miernej szerokości wywinięte, obszyte trzema falbankami z ruszą. Na spodnicy jedenaście falbanek, nad niemi rusza z tafty wycinanej w ząbki. Szmizetka i spodnie rękawy z muślinu. Kapelusz z białej i różowej krepy, pod i nad rondkiem róże białe i czerwone. Rękawiczki szwedzkie.

Ubranie drugie. Suknia z tafty bronzowej bogata, wyszywana tasiemeczką szmuklerską, stan z paskiem, rękawy miernej szerokości, w połowie rozcięte, ubrane równie jak spodnica i stan. Na lewej stronie spodnicy kieszeń podobnież wyszywana. Spodnie rękawy i kołnierzyk z tiulu i koronek. Kapelusz słomkowy ubrany maczkiem, kłosami i astrami białemi. Rękawiczki glansowane.

Ubranie trzecie. Mała dziewczynka ośmioletnia. Suknia z poil de chèvre ubrana paskami z aksamitu szafirowego, spodnie rękawy z muślinu marszczone, szmizetka muślinowa. Włosy w siatce ze sznelki szafirowej. Kapelusz słomkowy Tudor z piórem długiem białem. Parasolka *Pompadour.*

Do tego numeru dołączamy mody za miesiąc czerwiec — a opis ich umieścimy w przyszłym numerze.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**